



*Opowiadania
do bujania
w obrotach*

Marian Janik

MARIAN JANIK

*Opowiadania
do bujania w obłokach*

z języka słowackiego przełożyła
Izabela Zając

Tytuł oryginału słowackiego: Poviedky do obláčikov

Tłumaczenie: Izabela Zając

Redakcja i korekta: Agnieszka Rembiałkowska

Projekt okładki: Miroslav Kulich

Rok wydania: 2020

ISBN 978-80-570-2262-6

Aksamitna

Na początek coś wesołego.

To ważne, żeby zacząć wesoło. Nie tylko dla autora. Regały uginają się pod ciężarem ważkich dzieł, dlatego się cieszę, że po latach nawet na aksamitną rewolucję, podczas której zdeterminowane masy ludzi podzwaniały kluczami na miejskich placach, można spojrzeć przez różowe okulary.

Otworzyła dwuskrzydłowe drzwi sali posiedzeń i stanęła jak wryta. W niemym osłupieniu, speszona i zdumiona wpatrywała się w kłębiący się przed nią tłum. A właściwie — w plecy tłumowi. Plecy falowały, pohukiwały i pogwizdywały, a od czasu do czasu wydawały z siebie salwy śmiechu. Docierały do niej rozgorączkowane wrzaski, których sensu nie była w stanie wychwycić, bo całą uwagę skupiła na wypatrywaniu narzeczonego. Wiedziała, że siedzi gdzieś z przodu, za stołem, ale ponieważ była niska, nie miała pojęcia, jak go odnaleźć. Nie pomogło stawanie na palcach — stłoczeni przed nią ludzie byli zbyt wysocy, w dodatku każdy z nich, jako że był grudzień, miał na sobie pikowaną kurtkę lub inne ciepłe, a więc obszerne okrycie.

— Panno Petro! — poczuła na ramieniu dłoń portiera, niemal ojcowskie klepienie. Nieśmiały albo wręcz bojaźliwy dotyk. — Proszę się nie bać — ciągnął starszy mężczyzna, który przepracował w zakładzie grubo ponad czterdzieści lat i znał co najmniej trzy lub cztery pokolenia tych, którzy przechodzili przez jego budkę. — Wladdenko — identyczne zdrobnienie słyszała od przyszłej teściowej — jest gdzieś w pierwszym rzędzie, może nawet za głównym stołem. Nie wywołam go w tej chwili, bo sama pani widzi, co się tu wyprawia. Wszystkich przenika duch rewolucji! Krzyczą jeden przez drugiego, słyszać ich aż hen, za Dunajem... Jeśli chce pani znaleźć narzeczonego, trzeba zdobyć się na odwagę i bezczelnie przeć do przodu. No już... Niech się

pani nie boi, panno Petro. Jest pani młoda, piękna, nikt się nie ośmielił pani zatrzymać — dodawał jej otuchy. Na koniec lekko popchnął ją w stronę masy pleców i czekał, aż wmiesza się w tłum.

Zachęcona w ten sposób Petra zrobiła głęboki wdech i wycelowała palcem w jedną z wielu mrowiących się przed nią pstrokatych kurtek. Nie przypuszczała nawet, jak ten gest zirytuje starszego mężczyznę. Gdy zamierzała powtórzyć nieudolną próbę, portier zdecydowanym ruchem odsunął ją na bok.

— Boże, ależ pani jest miękka! Jak aksamitne obicia pałacowych mebli! — Rozpychając się łokciami, wcisnął się między dwoje nieznanym na samym końcu. — Rozstąpić się! Niosę wiadomość dla pana Pulmana, rozstąpcie się trochę, panowie!

Gdy tylko morze pleców się rozstąpiło, chwycił Petrę za rękę i zdecydowanie popchnął dziewczynę do przodu.

— Niosę wiadomość dla pana Pulmana! — powtórzyła Petra za portierem, choć już mniej kategorycznym tonem. Na odgłos zatraskujących się za nią drzwi straciła na moment pewność siebie. Anonimowa pohukująca masa ludzi peszyła ją bardziej niż dobrze znany poranny ścisk w środkach komunikacji publicznej.

— Przepraszam, niosę wiadomość dla pana Pulmana!

Aksamitny apel Petry nie był nawet w przybliżeniu tak stanowczy jak rozkaz starego portiera, a jednak dało się usłyszeć w nim nutki odwagi czy wręcz arogancji. Czuli, że powoli posuwa się do przodu. Ludzie przesuwali się wokół niej jak w kalejdoskopie, teraz wydali się jej nieco niżsi, mogła już dostrzec podium z kierownictwem zakładu i młodszymi pracownikami, którzy zorganizowali zebranie. To nie było zwykłe posiedzenie związkowców, lecz najprawdziwszy rewolucyjny wiec: wszystko, co stare, zostało bezkompromisowo odrzucone, a zgromadzeni okrzykami domagali się zaprowadzenia nowych porządków. Zmiany objęły już całą Europę, a rewolucyjny entuzjazm,

który zapanował po upadku reżimów komunistycznych, stopniowo docierał do kolejnych przedsięwzięć. To właśnie w nich odbywały się wiece, odwoływano dyrektorów, partyjniaków, a tu i ówdzie nawet portierów — jak się trafiło.

— Przepraszam, niosę wiadomość dla pana Pulmana!

Słowa więzły Petrze w gardle. Gdy miała po raz kolejny powtórzyć wyuczoną formułkę, rozjuszony tłum zaczął gwizdać. Poczula, że czyjaś ręka ciągnie ją do tyłu.

— A ty czemu nie gwizdziesz?! Nie wiesz, jak to się robi, smarkaczu? No to patrz, dwa palce i... — rozległ się donośny gwizd.

Nieznajomy chwycił Petrę za kołnierz zimowej kurtki i z łatwością unosił ją kilka centymetrów nad podłogę. Musiał pracować na produkcji, świadczyły o tym potężne mięśnie i poharatana twarz, nosząca ślady długiego przebywania w zanieczyszczonym środowisku.

— Hola, hola, proszę pana, o nic pana nie prosiłam i... — krótka chłopięca fryzura najwyraźniej zmyliła nieznajomego, który wziął ją za chłopaka.

Głos Petry zagłuszyły gwizdy. Kołnierz kurtki zaczął wpijać się jej w szyję. Ważyła tylko nieco ponad pięćdziesiąt kilogramów, ale dynanie w powietrzu — niczym zając schwyty w sidła — bynajmniej nie należało do przyjemności.

Na szczęście uwagę osiłka przyciągnął tłum ogarnięty rewolucyjną euforią. Nieznajomy najwidoczniej uznał, że gwizdanie na palcach jednej ręki daje marny efekt. Puścił swoją zdobycz i użył do gwizdania obu dłoni. Jak na meczu hokeja.

Uścisk na gardle zelżał i Petra poczuła ulgę. Nabrała powietrza w płuca i żeby nikomu więcej nie rzuć się w oczy, zamierzała dopaść podłogi. Prawie się udało, ale wtedy to samo ramię co poprzednio najpierw postawiło ją na nogi, a następnie znów uniosło w górę. Wrzaski powoli cichły, teraz słowa osiłka docierały do niej wyraźniej.

— No i co, szczeniaku? — pytanie nieznanego zderzyło się z niewinnym spojrzeniem dziewczyny, które zwykle pomagało jej wyjść cało z różnych opresji. Przydawało się zwłaszcza podczas kontroli w autobusie, jeśli akurat zapominała biletu.

— A cóż to? — zamruczał osilek. — Kto by pomyślał, taka delikatnusia panienska... — Spuścił z tonu. Zakłopotany, nie wiedział, jak zareagować. W końcu postawił Petrę na podłodze i starannie wygładził jej pomięty kołnierz. Stojący obok mężczyźni posłali mu kilka drwiących uwag, które jeszcze bardziej zbiły go z tropu. Gorączkowo główkował, jak by tu podsycić w sobie nagle zgasły rewolucyjny zapal.

— Muszę się dostać do Vladka Pulmana — rzuciła Petra w stronę siłacza, choć nie była pewna, czy w ogóle jej słucha. — To mój narzeczony — dodała. — Chcę mu powiedzieć, że przyznali nam mieszkanie. Wie pan, co to znaczy? Wie pan, co oznaczają te klucze? — Oczy Petry rozbłysły, gdy wyjęła z kieszeni cały pęk, żeby pochwalić się nieznanemu. Ponieważ była znacznie mniejsza od otaczających ją ludzi i nie miała pewności, czy osilek ją dostrzega, dla podkreślenia swoich słów demonstracyjnie potrząsnęła kluczami.

Tłum zafalował. Jak na komendę nad głowami pojawiły się pęki kluczy i sala wypełniła się wszechogarniającym brzękiem. Uczestnicy wiecu, poza kilkoma wyjątkami za stołem prezydiąlnym, potrząsając kluczami w rewolucyjnym zapale, dali wyraz poparciu dla masowego zrywu, a tym samym przyłączyli się do aksamitnej rewolucji.

Odgłos kluczy Petry rozpląnął się w ogólnej kakofonii. Dziewczyna chciała zaprotestować, chciała powiedzieć coś więcej o nowym mieszkaniu, ale nie miało to większego sensu. Najgorsze było jednak to, że tłum znów zaczął napierać, a ona nie mogła nawet opuścić wyciągniętej ręki.

Odczekała chwilę, aż rewolucyjne pozdrowienie ucichnie, i podjęła kolejną próbę schowania kluczy do kieszeni. Daremnie. Nieznajomy

osiłek chwycił ją mocno w talii, podniósł w górę i pewnym krokiem ruszył przed siebie.

— Zróbcie miejsce, my do pana Pulmana! To jego narzeczona, ona jest z nami! Niech żyje Pulman! — Bez pardonowo pchał się do przodu.

— Niech żyje Pulman! Niech żyje Pulman!

Tłum podchwycił jego okrzyk i w sali zagrzmiało gromkie: „Niech żyje Pulman!”.

Narzeczony Petry, Wladek Pulman, wcale nie stał w pierwszym rzędzie, jak przypuszczał stary portier, lecz siedział za stołem związkowców.

Był jednym ze zwolenników aksamitnej rewolucji, którzy nie przepuszczali żadnej akcji w zakładzie. Przewodził zgromadzeniu, dbał o jego gładki przebieg, nie pozwalał, żeby wiec zmienił się w wulgarną pyskówkę. Przypadła mu w udziale rola pośrednika pomiędzy ustępującą generacją twardogłowych a przejmującą stery grupą trzydziestoletnich zapaleńców-reformatorów.

Na widok niesionej przez osiłka, bezradnie dyndającej w powietrzu narzeczonej wstał, żeby coś powiedzieć lub krzyknąć, ale tłum nie dał mu dojść do głosu. To jednak wystarczyło, żeby zauważyła go Petra. Z radością pomachała do niego pękiem kluczy, dając mu w ten sposób do zrozumienia, po co właściwie przyszła — nie tylko przyniosła radosną nowinę, przede wszystkim chciała pokazać nowe lokum. Żeby to do Vladka dotarło, zaczęła mocniej potrząsać kluczami.

Osiłek przedarł się do stołu, przy którym zasiadały wszystkie ważne figury wiecu. Nie mógł przepuścić okazji, żeby pokazać, jaki z niego kozak — najwyraźniej sprawiało mu to wielką frajdę — toteż z gracją baleriny precyzyjnie ustawił Petrę prosto na stole, tuż przed narzeczonym. „Niech żyje Pulman!” — nie przestawała skandować sala.

Kiedy Petra stanęła — a raczej: została postawiona — na własnych nogach, najpierw przemknęło jej przez myśl, że mebel może nie

udźwignąć jej ciężaru. Z wyciągniętą ręką, w której wciąż pobrzękiwały klucze, obejrzała się na narzeczonego, szukając w nim wsparcia.

Zaskoczony rozwojem sytuacji Vladek gwałtownie wstał, żeby pomóc Petrze bezpiecznie zejść na ziemię. Wcale mu się nie podobało, że cała sala gromko powtarza jego nazwisko, a głównym punktem programu jest jego subtelna jak aksamit narzeczona. Całe szczęście, że jest zima, pomyślał, przynajmniej nie wystroiła się w mini. Wolał sobie nie wyobrażać, jak wówczas zareagowałby tłum robotników.

— Możesz mi wyjaśnić, skąd się tu wzięłaś? — wycedził przez zęby. — Mówiłem ci rano, że będę zajęty do samego wieczora, żebyś mnie nie szukała. A już na pewno nie tutaj, gdzie wszyscy mnie znają! Zobacz, co narobiłaś! — Wskazał tłumy skandujące jego nazwisko. Uśmiechnął się i zrobił ręką gest, który miał uciszyć wrzawę i umożliwić powrót do bardziej rzeczowej części dyskusji, zwłaszcza tej dotyczącej przyszłości przedsiębiorstwa. Nawet jeśli w tej chwili sam zapomniał, na czym stanęli.

Do Petry wreszcie dotarło, że nie musi już wymachiwać kluczami. Prędko schowała je do kieszeni kurtki i wsparła się na ramieniu narzeczonego. Chciała zeskoczyć ze stołu, ale uczestnicy rozmów byli za nim tak stłoczeni, że musiałyby przez kogoś przeskoczyć. Narzeczony w lot zrozumiał jej zamiar i aby jej pomóc, cofnął się gwałtownie, zapominając, że Petra nadal kurczowo trzyma się jego ramienia. Środek ciężkości jej ciała przeniósł się na barki Vladka, a ten, zaskoczony nagłym manewrem, zatoczył się i oboje spadli na ziemię.

Tłum, który zaczynał się już uspokajać, dostał nowy impuls i gorliwie podchwycił hasło osiłka: „To jest to! To jest to! To jest to!”...

*

Szli przez starówkę, gdzie powoli gromadziły się zastępy rewolucyjnie usposobionych ludzi. Petra zdawała się tego nie dostrzegać, ponieważ gorączkowo szukała sposobu, jak poprawić humor narzeczonemu. Odkąd przy aplauzie robotników wyszli z fabryki, nie dało się z nim normalnie rozmawiać. Teraz w jednej ręce ścisnęła pęk kluczy, drugą kurczowo trzymała się Vladka i drobiać tuż przy nim, próbowała się przymilać.

— Ma dokładnie taki rozkład, o jakim marzyliśmy — oznajmiła zdecydowanym tonem i czekała na reakcję narzeczonego. Na próżno. Vladek był pogrążony w zadumie, co zwykle jej nie przeszkadzało, ale obawiała się, że tym razem jego myśli znów krążą wokół wydarzeń ostatnich dni. — Duży pokój z balkonem wychodzącym wprost na rynek. Słyszysz? Na rynek! Odkąd pamiętam, zawsze marzyłeś o mieszkaniu w samym centrum. Chciałeś, żeby co rano budził cię łoskot przejeżdżających tramwajów, nieprawdaż?

— Ciekawe, jaki numer wytną mi jutro w pracy — odwarknął Vladdek. Petra zrozumiała, że myślami wciąż jest gdzie indziej. Wydarzenia tego i ostatnich dni tak bardzo go pochłaniały, że nie miał kiedy zastanawiać nad takimi zbytkami jak nowe mieszkanie, nawet jeśli było to ich wspólne marzenie i chyba jedyny powód, dla którego ciągle jeszcze nie wzięli ślubu. — Wszyscy, od portiera po dyrektora, będą się uśmiechać pod wąsem i pozwalać sobie na ironiczne docinki za moimi plecami. Narzeczona przysłała po mnie na wiec, narzeczona załatwiła mieszkanie, narzeczona rzuciła się na pana Pulmana, narzeczonej zachciało się łóżkowych igraszek... Nic, tylko narzeczona!

— Drugi pokój jest mniejszy. — Petra nie odpuszczała. Postanowiła wykorzystać wszystkie kobiece sztuczki, byle tylko wyrwać Vladka z rewolucyjnej psychozy, która zapanowała w ich związku. Wydało się jej niesprawiedliwe, że walka o władzę tak gwałtownie i zachłannie zawładnęła całą męską częścią populacji. Rano Petra musiała wysłu-

chać wykładu ojca (na szczęście udobruchał ją kluczami do nowego mieszkania, przy czym oświadczył ze stoickim spokojem, że to ostatnia zdobycz socjalizmu), przed południem ulotniła się z biura, bo koledzy urządzili sobie tam kółko dyskusyjne, po południu szef, obgryzając paznokcie z poirytowania, zarządził kontrolę pracownic, a pod wieczór czekało ją to samo, choć w innym wydaniu, od narzeczonego. Walka, walka, walka... Wszyscy o coś i za coś walczyli, tylko to, o co walczyli, jakoś nie pokrywało się z wyobrażeniami Petry o nieodległej przyszłości.

— Duży pokój, mały pokój! Rozejrzyj się, wszyscy wychodzą na ulicę walczyć o wolność! Teraz domem jest ulica, rozumiesz? — odezwał się Vladek.

— Jest na tyle duży, że zmieści się w nim wielgachne łóżko. — Petra udała, że nie dosłyszała ostatniej wywrotowej aluzji. — Przecież zawsze o takim marzyłeś. Możesz nawet wstawić do sypialni sprzęt grający. Rano się do ciebie przytulę i będziemy sobie razem słuchać... może koncertów fortepianowych? Podobno działają strasznie podniecająco. Tak twierdzą moje przyjaciółki. Czemu my byśmy nie mieli spróbować? I oczywiście wyłączymy telefon.

— Dzisiaj zapadnie decyzja, czy odwołają tylko dyrektora, czy całe kierownictwo zakładu. Innymi słowy, fabryka musi się całkowicie zmienić i odnaleźć w nowych warunkach. Całe przedpołudnie zajmowaliśmy się tą kwestią. Szukaliśmy odpowiedzi na pytanie, jaka forma zarządzania będzie najlepsza, gdy granice zostaną otwarte. Niektórzy twierdzą — a możesz mi wierzyć, oni znają się na gospodarce — że trzeba będzie stworzyć nowe przepisy, a zakład przekształcić w spółkę akcyjną. To się przyjęło na całym świecie, bo akcjami można później swobodnie obracać na giełdzie. A jeśli kupimy akcje własnego przedsiębiorstwa, to my też będziemy jego udziałowcami. Pamiętasz tamten amerykański film o maklerach? Główny bohater wpadł na to, że...

— Będziesz zaskoczony kuchnią — przerwała mu Petra. Miała ochotę ironicznie dodać, że w to pomieszczenie też warto zainwestować, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język i tylko cierpko się uśmiechnęła. — Nieduża, ale za to kwadratowa — zauważyła rzeczowo, próbując kuchnią na planie kwadratu przebić wartość akcji, o których plótł jej ukochany. — Na to najbardziej naciskałam, tłumacząc ojcu, jakie mieszkanie ma nam załatwić. Kuchnia musi być kwadratowa, a nie taka kiszka jak w bloku. Jak nie będzie kwadratowa, to nie bierzemy. Postawiłam mu ultimatum i posłuchał. Prawda, że to miło z jego strony?

— To mieszkanie załatwił twój ojciec? — zdziwił się Vladek. Rozanielona Petra spojrzała na starszego od niej o cztery lata narzeczonego. Objęła go i ucałowała, jak gdyby witając z powrotem w realnym świecie. Zrobiła to także z wdzięczności: wreszcie okazał zainteresowanie tematem. — Myślałem, że ktoś odpowiedział na ogłoszenie — ciągnął zaskoczony Vladek, kiedy udało mu się uwolnić z objęć narzeczonej.

Szli coraz wolniej, bo otaczało ich coraz więcej ludzi. Wszyscy ciągnęli na główny plac miasta, gdzie odbywał się wiec. Przez cały lodowaty grudniowy tydzień co wieczór tysięczne tłumy gromadziły się tu w podniosłej atmosferze, żeby zmanifestować poparcie dla dokonującej się transformacji. Reżim totalitarny rozsypywał się niczym domek z kart, ludzie chętnie brali udział w masowych demonstracjach, dając upust długo tłumionej frustracji.

— Kochanie, przecież to wszystko jedno, czy z ogłoszenia, czy dzięki ojcu. — Petra pociągnęła narzeczonego w stronę mieszkania, upuszczając pęk kluczy i dając tym samym przechodniom sygnał, żeby nikt nie wchodził jej w drogę właśnie teraz, gdy Vladka i ją zaledwie kilkaset metrów dzieli od nowego wymarzonego lokum i nie na miejscu byłoby psucie im tego pięknego dnia. — Doskonale wiesz — ciągnęła z wyrzutem w głosie — że załatwienie mieszkania jest obecnie bardzo,

ale to bardzo problematyczne, zwłaszcza w naszej sytuacji, przecież nie mamy jeszcze...

Petra urwała nagle. Czy w tych okolicznościach, a zwłaszcza w takim nastroju, powinna wypominać Vladkowi brak ślubu? Znów objęła narzeczonego, ale tym razem nie wypuściła go, dopóki nie otworzyli drzwi nowego mieszkania. Znajdowało się na ostatnim, piątym piętrze starej kamienicy stojącej tuż przy rynku.

— Fiu, fiu! Jaki ogromny przedpokój! — Onieśmielony Vladek wszedł do środka. Petra szybko zamknęła za nim drzwi i wniebowzięta stroiła miny za jego plecami. „Mam go”, pomyślała. Wkroczyli do królestwa, o którym oboje marzyli, wpadł jak śliwka w kompot. „Teraz już go mam!”

Mieszkanie było dokładnie takie jak w jej opisie, ale ponieważ jej nie słuchał, wydawało mu się nowe i wspaniałe. Sprawiało wrażenie przytulnego, choć nie było w nim wielu sprzętów. Poprzedni właściciele zostawili w przedpokoju wieszak, w sypialni — firanki, w salonie — starą kanapę, a w kuchni — niewielki stolik i trzy krzesła. Do kuchni należała też spiżarnia. Łazienka i ubikacja były trochę podniszczone, ze ścianami wyłożonymi starymi niemodnymi kafelkami.

Vladek powoli zaczynał się orientować w rozkładzie, ale wciąż czuł się nieswojo, jakby się obawiał, że któryś z poprzednich właścicieli zaraz wyłoni się z pokoju, żeby zapytać, jakim cudem właśnie teraz, tuż po aksamitnej rewolucji, ot tak udało im się zdobyć mieszkanie.

Petra pozwoliła narzeczonemu nieco ochłonąć, a potem zniknęła w kuchni i zaczęła szybko szykować skromną kolację. Nie zdawała się na przypadek. Już rano, w drodze do pracy, przyniosła do mieszkania kilka rzeczy, butelkę szampana, świeży chleb i słone przekąski. Zignorowała mordercze spojrzenia spieszących do pracy sąsiadów, którzy na widok szampana w jej ręce (nie zmieścił się do torby) nadymali się ze zgrozaniem i pod nosem mamrotali przekleństwa. Nawet uprzej-

me pozdrowienia nie mogły złagodzić pierwszego wrażenia.

— Będziemy musieli naprawić drzwiczki kuchennych szafek — krzyknęła głośno, żeby Wladek, który spacerował po salonie, na pewno ją usłyszał. — Kuchenka też jest stara, ale widziałam taką ładną kombinowaną, góra na gaz, a na dole elektryczny piekarnik. Była dość droga, ale myślę, że taniej i tak nie znajdziemy. — Jajka były już ugotowane, zaczęła kroić i smarować chleb. — Deski w spiżarni są przegniłe! Słyszysz? Przyszedłbyś rzucić okiem! — Kanapki były prawie gotowe. Ułożyła je na starej tacce. Z butelką szampana w dłoni i serwetkami w ustach ruszyła do salonu. Vladka nie zastała. Poszła go poszukać w sypialni, ale tam też go nie było. Ostrożnie weszła do łazienki — Vladka ani widu, ani slychu. To samo w ubikacji — drzwi były odrobinnę krzywe, więc gdyby tam był, przebijałoby światło.

Nie mogła Vladka zawołać, bo przeszkadzały jej trzymane w ustach serwetki. Na wszelki wypadek jeszcze raz zrobiła obchód wszystkich pomieszczeń. Gdy po raz kolejny dotarła do łazienki, bezradnie spojrzała w wiszące nad umywalką lustro i z rezygnacją pokręciła głową. Ach, dlaczego?! Uciekł na rynek... do swoich.

Ale dlaczego?!

Petra odłożyła tackę na brzeg wanny i w furii sięgnęła po butelkę szampana. Jej roztargnienie mogło mieć tragiczne konsekwencje. Korek wyskoczył gwałtownie i roztrzaskał lustro w drobny mak. Odłamki szkła posypały się do umywalki. Siedem lat nieszczęścia, podsumowałyby matka Petry. Dziewczyna podniosła butelkę szampana do ust i pociągnęła spory łyk. Usiadła w pustej wannie i popijając z butelki, pochłaniała przygotowane z taką pieczołowitością kanapki. Zachowywała się niedorzecznie. Ale czy można doszukiwać się logiki tam, gdzie uczucie bierze górę? Gdzie miłość zostaje niespodzianie zdradzona, oszukana, może nawet nieumyślnie, wystawiona na próbę? Trud całego dnia przybrał postać kilku kanapek (które, jak się okazało, zrobiła

dla siebie) i butelki szampana, wypitej w starej zatęchłej wannie.

Przez otwory wentylacyjne usłyszała dobiegające z rynku okrzyki. Jak co wieczór o tej porze, właśnie zaczynał się miting.

— Zróbcie miejsce! — powtórzyła za tłumem, sięgnęła po szampana i znów napiła się prosto z butelki. Tłum ponownie zahuczał, a nawoływania, coraz wyraźniejsze i bardziej zrozumiałe, zaczęły wypełniać pomieszczenie.

— Jesteśmy z wami! Jesteśmy z wami! — I już po kanapce.

— Najwyższa pora! Najwyższa pora! — Kolejny spory łyk i dla odmiany dwie kanapki. Petrze zrobiło się duszno. Z niemalym trudem zdjęła sweter (sprezentowany przez siostrę), a skoro już była w wannie, od razu zrzuciła bluzkę i stanik, które przy wtórze triumfalnych okrzyków z rynku wylądowały na uchwycie słuchawki prysznicowej.

Wkrótce po kanapkach pozostały tylko pomięte serwetki, a butelka po szampanie spoczęła na dnie wanny. Petrę zdziwiło, że na czworaka łatwiej jej się wygramolić. Po wyczynie godnym alpinisty i pokonaniu niebezpiecznej krawędzi wanny wypuściła się na głębokie wody mieszkania. Z salonu również dobiegały okrzyki podekscytowanych mas, ruszyła więc w tym kierunku. Gdy dotarła na miejsce, przeciąg uchylił drzwi balkonowe, poczuła powiew mroźnego powietrza i zauważyła sylwetkę ukochanego. Stał oparty o balustradę, kiwał głową i od czasu do czasu wtórował okrzykom tłumu.

Balkon! Zupełnie o nim zapomniała! Przecież z balkonu jest piękny widok na rynek! Petra zebrała się w sobie i powolutku, rozglądając się konspiracyjnie, zakradła się na balkon.

Wladek był całkowicie pochłonięty sytuacją na ulicy. Zdążył już zapomnieć o powodach wizyty w mieszkaniu. Zapadł zmrok, rynek był z kilku stron podświetlony. Na głównym podeście ostre światła reflektorów raz po raz ukazywały dzielnych ludzi, którzy postanowili przemówić do narodu, a może także do sumienia tych, którzy stali na

rynku, demonstrując — choćby przez własne zaangażowanie — odwagę i gotowość podjęcia ważnych kwestii politycznych. Mimo że było ciemno, czuło się obecność nieprzeniknionych czarnych chmur, które zwiastowały śnieżycę. Przemawiający zmieniali się, a słuchacze dla zabicia czasu wznosili okrzyki. Niektóre z nich Petra знаła już na pamięć.

„Najwyższa pora!”, ryknął tłum pod balkonem.

— Najwyższa pora! — podjął Vladek z dumą i upojeniem. Miał właśnie powtórzyć popularne hasło po raz kolejny, kiedy kątem oka dostrzegł skradającą się do niego od tyłu narzeczoną. Na widok pięknego, nagiego od pasa w górę ciała wybełkotał coś niezrozumiale. Miał to być wyrzut, że w taką pogodę nie biega się po balkonie na golasa i że długo kazała mu na siebie czekać. W końcu sterczał tam już całą godzinę! Chciał zaprotestować, ale nie zdążył.

Udało mu się jeszcze zamknąć za sobą drzwi balkonowe, a kiedy z łoskotem spadł na stary tapczan — w objęciach, a raczej: w kurczowym uścisku Petry — zdołał tylko cicho wymamrotać:

— Masz taką aksamitną skórę!

Petra objęła swój skarb i choć po bąbelkach męczyła ją czkawka, delikatnie ugryzła narzeczonego w ucho, szepcząc triumfalnie:

— Naj-wyż-sza po-ra!

Z zimną krwią

Po delikatnej rozgrzewce czas na szczyptę wyrachowania, żeby krew wam w żyłach zawrzała. Ale bez obaw: ociekające krwią opisy zostawię innym autorom.

Prokurator wsiadł do służbowego samochodu z kilkuminutowym spóźnieniem. Poluzował krawat i rozpiął guzik przy kołnierzyku. Wyraźnie mu ulżyło. Miał dość zwalistą sylwetkę, ale tamtego dnia przyczyną jego rozdrażnienia było coś innego. O tym, że wstał z łóżka lewą nogą, świadczyły wszystkie elementy jego garderoby. Praktycznie nic nie było na swoim miejscu, więc krawat swobodnie zwisający z szyi dodawał mu tylko wiarygodności. A przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

— Głowa w porządku? — zapytał prokurator, siłąc się na neutralny ton, ale nawet nie czekał na odpowiedź. W pytaniu było tyle formaliny, że wystarczyłoby jej do zakonserwowania kierowcy. Zdawałem sobie sprawę, że pełne wyrzutu spojrzenie na moją zabandażowaną głowę wynikało z profesjonalnej rutyny. Nawet się nie wysilił, żeby objąć wzrokiem moje brwi, a o spojrzeniu prosto w oczy mogłem tylko naiwnie marzyć. Urażona prokuratorowska duma miotała się w napadzie furii, wywołanej jawną niesprawiedliwością, czyli koniecznością odbycia służbowego wyjazdu w ten upalny letni dzień.

Od kamieniołomu w Lošoncu dzieliła nas co najmniej godzina. Choć dla spędzających weekendy na wsi mieszcuchów ze stolicy to niewielka odległość, nam, tkwiącym w samochodzie z zepsutą klimatyzacją, w pełnej napięcia, dusznej atmosferze, wydawało się to prawdziwym utrapieniem. Kierowca rzucił parę dowcipów o straży miejskiej. Chciał zapunktować u prokuratora bystrością umysłu i rozładować napięcie, ale przy braku klimatyzacji jego wysiłki spełzły na

niczym. Ba! — jeszcze bardziej poirytowały prokuratora, który teraz wiercił się nerwowo na przednim siedzeniu. Najwyraźniej chciał sobie jakoś ulżyć. Tylko szukał pretekstu, żeby wyrazić niezadowolenie albo nawet wściekłość: przeze mnie musi odbyć tę nudną i — jak określił to rano przez telefon, dając mi do zrozumienia, że w drodze wyjątku ugiął się pod naciskiem kogoś wyżej postawionego — zupełnie niepotrzebną podróż.

W lusterku wstecznym zarejestrowałem pytające spojrzenie kierowcy. Nie miałem mu tego za złe. Widocznie potrzebował więcej czasu, żeby wyrobić sobie zdanie na mój temat. Na razie ciągle byłem nieznanym z roztrzaskaną łepetyną, który siedział za jego plecami i w milczeniu obserwował rozwój wypadków.

Z zimną krwią.

— Nie uwierzyłyby pan, ile razy dzwonił do mnie prokurator generalny — żalił się prokurator kierowcy, na którego twarzy zamiast współczucia wciąż malowało się zakłopotanie. — Co najmniej cztery razy! — ciągnął rozdrażniony, wkładając w wypowiedź sporą dozę sarkazmu. — Przez cały rok cisza, jakby się pod ziemię zapadł, a tu nagle... Cztery razy!

— Pewnie się o pana martwi. — Kierowca próbował przełamać lody.

— Bzdura! — odwarknął szorstko prokurator. Wreszcie udało mu się skierować rozmowę na właściwy tor. — Cały ten krzyk przez pana inżyniera. — Dobitnie zaakcentował mój tytuł. — Tego samego pana inżyniera, który siedzi sobie teraz wygodnie na tylnym siedzeniu. Widocznie musi mieć niezłe koneksje w prokuraturze generalnej, skoro od samego świtu telefon wydzwaniał jak oszalały. Mówię panu: cztery razy!

Kierowca znów zerknął w lusterko. Nie odezwałem się, nawet brew mi nie drgnęła. Poplamione zaschniętą krwią bandaże tworzyły

na mojej głowie dziwaczny turban, chwilami czułem się jak w kaftanie bezpieczeństwa. Pomimo utyskiwań prokuratora ani mi się śniło okazywać mu współczucie tylko po to, żeby polechtać jego przewrażliwione ego.

Głowę roztrzaskał mi kamieniem jeden z więźniów na porannej zmianie. Ja jedynie zadbałem o to, żeby konfrontacja odbyła się jeszcze tego samego dnia. Zaradność i szybkość, z jaką udało mi się dopiąć swego — oto prawdziwe powody złego humoru prokuratora. Nawet teraz, gdy obserwowałem jego chaotyczne gesty, wydawało mi się w największym stopniu właściwe, że przynajmniej jeden przedstawiciel władzy wykonawczej musiał ruszyć tyłek i zająć się problemami zwykłego śmiertelnika.

— Rozbita głowa to wątpliwa przyjemność — rzucił niedbale kierowca. — Pewnie dlatego panu inżynierowi tak się spieszy. Chorobowego dostałby tyle, co kot napłakał, a czynsz i rachunki z czegoś zapłacić trzeba... Wyobrażam sobie ciekawsze sposoby spędzania czasu niż snucie się po mieszkaniu z głową w zakrwawionym bandażu.

— Niepotrzebnie się pan tak o niego troszczy — zaoponował prokurator. — Pan inżynier dobrze to sobie wykalkulował. Tylko on jeden wie, dlaczego wykorzystał znajomości, żeby dotrzeć aż do prokuratora generalnego. Nie mam racji?

Tym razem spojrzał mi prosto w oczy.

Z zimną krwią.

Kierowca budził moją sympatię. Nie mogłem mu podziękować, więc uciekłem się do małego fortelu.

Zaproponowałem, żebyśmy zrobili krótki postój w Pezinku, na mój rachunek. Prokurator podjął wyzwanie. Już po pierwszych łykach szprycera w kameralnej winiarni „U Matyśáka” jego nieznośny nastrój się ulotnił.